

Maria Wojciechowska

(1912 - 1999r)

nestorka harcerstwa przemyskiego

— pismo w kolo obywateli
„10 Dniwa Harcele „Grot”

Wywiady przeprowadzone w dniach 2-3 maja 2001r w Przemyślu.

Respondenci:

- phm. Janusz Wojciechowski
ul. B. Chrobrego 41
37-700 Przemyśl
tel dom. (0-16) 6707537
tel. Praca: (0-16) 6785977
e-mail: vicia@poczta.onet.pl
- dh. Krystyna Padykuła
- dh. Krystyna Czajkowska
- dh. Janina Mańkowska
- dh. Maria Cieszyńska

Krok w daleką przeszłość (zanim przysła na świat Marylka).

Janusz Wojciechowski: Filip Bauer przyjechał do Krakowa i tutaj poznał brata babci Karoliny. Ona była młodziutka i mieszkała w województwie krośnieńskim. Poznali się i zaprzyjaźnili (ten Austryjak z Polakiem – bratem Karoliny). I ten brat zaprosił go do domu. On przyjechał. Był od niej parę lat starszy. Ona była bardzo młodziutka, wobec tego narodziła się wielka miłość. Rodzice się zgodzili i pobraли się. Z tego małżeństwa było 4 dzieci. Moja babcia, jej brat Adam, brat Władysław i siostra Antonina. On (Filip Bauer) został naczelnikiem stacji w Zagórzcu, bo właśnie budowali koleje żelazne i to był dla niego duży awans. Siostra babci, Antonina, zmarła w czasie okupacji na nowotwór.

Pierwsze samodzielne, ale jakże znaczące kroki na harcerskiej drodze..

Pierwsza drużyna harcerska, jaką moja Mama założyła, była w Kosienicach, na wsi. Była to pierwsza wiejska drużyna w Chorągwi Lwowskiej. Pierwsza jaka kiedykolwiek powstała, to właśnie powstała z inicjatywy mojej Mamy. Miejscowość Kosienice jest odległa od Przemyśla o ok. 20 km. Mama miała w tym czasie 14 lub 15 lat, mieszkała tutaj, chodziła do szkoły, do Benedyktynki w Przemyślu, i w sobotę wyruszała pieszo do Kosienic (tam tato jej był kierownikiem Szkoły Podstawowej, babcia moja była też nauczycielką). I w każdą sobotę szła pieszo po lekcjach 20 km do Kosienic, tam na drugi dzień, w niedzielę, miała zbiórkę z tymi dzieciakami ze wsi. I w poniedziałek, bardzo wcześnie wstawiała, żeby zdążyć do szkoły, do liceum.

Pan Franciszek Gamulczak, przyjaciel z dzieciństwa, członek tej pierwszej drużyny wiejskiej, wspomina: „Gdy przyjeżdżałem do brata Michała w Ciemienszowicach, nie mogłem ominąć mieszkania Maryli w Przemyślu, przy ulicy Okrzei 2. (...) Wspominaliśmy razem wiejską, tym razem, drużynę harcerską im. Lisa Kuli, założoną przez Marylę przy szkole powszechnej w Kosienicach. Byłem jej członkiem i zastępowym Maryli, w czasie Jej obecności w Przemyślu. Drużyna ta była w swej istocie ośrodkiem wychowania patriotycznego. Klimat jej doznawany ze wzruszeniem, przenieśliśmy w 1933r do Szkoły Podchorążych, pielęgnowałem go i pogłębiałem przez częste kontakty z cmentarzem Orląt Lwowskich. Kosienice stawały się przez to ideowym pomostem ze Lwowem i zarazem jego patriotycznym przytulkiem umacniającym nasze wzory, także na ziemiach odległych od Lwowa o ponad 100 km.”

Niezwykle znacząca znajomość.

Była taka osoba, która miała bardzo duży wpływ na moją mamę. Na jednym obozie poznała wysokiej klasy dziewczynę, starszą od siebie, dh. Irenę Chmieleńską, która była w tym czasie studentką na Uniwersytecie Warszawskim, na psychologii. Ta pani miała na mamę bardzo duży wpływ. Czasem nie miały kontaktu, ale mama zawsze była pod jej wpływem. Była to bardzo bystra, inteligentna dziewczyna, wykształcona. Dziewczyna ze znanej rodziny warszawskiej, wysoce inteligentna. I ona przez swój intelekt miała bardzo duży wpływ na moją mamę. A przy tym była też niezwykle zaangażowana. Po wojnie szybko ktoś na nią zwrócił uwagę, zaczęła pracować, miała kilkuletni staż, bo pracowała jeszcze przed wojną. I w ciągu kilku lat została dyrektorką prawie wszystkich ochronek w Warszawie. Przez nią moja mała załatwiała wiele miejsc dla tych dzieciaków w różnych domach. To była właśnie dh. Irena.

Ucieczka do Warszawy.

Monika Sidor: Pamiętam, jak Drużna mówiła, jak uciekła z Przemyśla do Warszawy. Co wtedy nią powodowało?

Janusz Wojciechowski: To musi być wyjątkowy „szust”, żeby cos takiego zrobić. Mama moja, zaangażowana w harcerstwo, pojechała na obóz harcerski i poznała Dh. Irenę Chmieleńską i jeszcze parę innych osób. Tak strasznie się zapatrzyła w nie, że już nie widziała innego świata, tylko chciała być razem z nimi. I one Jej załatwiły, przy jakichś kolejnych wakacjach, wspólny pobyt na obozie harcerskim na Wileńszczyźnie. I tam była z nimi, a były to dużo dojrzalsze harcerki od mamy, wykształcone, imponowały jej swoim intelektem i wiedzą. I mama jak widziała, jak one pracują z harcerzami, miała potem dużo

inicjatywy własnej, przez całe życie. Wobec tego, jak zobaczyła to, to od razu namówiła je, żeby one jej poszukały, bez wiedzy swoich rodziców, szkoły w Warszawie. I poszukały. I bez zgody rodziców, bez wiedzy rodziców, wsiadła w pociąg i udała się do Warszawy. I tam się dostała do Seminarium w Warszawie, i natychmiast rozpoczęła działalność harcerską. Nie była takim zagubionym dzieckiem z prowincji. I już następnego roku zorganizowały z koleżanką, dla dzieci z rodzin bezrobotnych, drużynę harcerską. Załatwiła im dożywianie, lekcje, douczanie. To byli sami chłopcy. Jak już to było zorganizowane w całości, wtedy przekazała to do Komendy Hufca, żeby jacyś instruktorzy się tym zajęli, a sama zaczęła robić coś innego.

Dh, Maryna i dr Korczak

Janusz Wojciechowski: Kiedy pani Irena Chmieleńska skończyła już studia, podjęła pracę m.in. w domu dr Korczaka. I ona mamę tam przedstawiła doktorowi Korczkowi, że jest taka Marylka, zapalona. I doktor porozmawiał z mamą, i ją do siebie tam przyjął. Tam był taki układ, że za trzy godziny pracy dziennie z tymi dziećmi, tymi sierotami w tym domu dla dzieci polskich (doktor prowadził także dom dla dzieci żydowskich), miała dostawać wyżywienie i łóżko –jakiś pokój. Dzięki temu mogła odciążyć finansowo swoją rodzinę. A była finansowana przez babcię. Babcia była już w domu, była dosyć zamożna, wobec tego ona ją finansowała, te wszystkie eskapady mamy. Mama chciała być samodzielna, nie chciała być ciężarem, wobec tego u Korczaka dorabiała sobie na swoje wykształcenie. No i była u Korczaka, potem poszła gdzieś w świat, potem znów do Korczaka wróciła.

Monika Sidor: A jakie miała wspomnienia o doktorze Korczaku?

Janusz Wojciechowski: Jak najlepsze zawsze. Ja byłem dumny, bo ja od dziecka o tym słyszałem zawsze, bo mama była zapraszana później na jakieś akademie. Bo tam gdzie się coś działo na temat dr Korczaka, mama była zapraszana, opowiadała, i nam też. No był to wspaniały człowiek. Raz, że był niezrównanym pedagogiem, miał wspaniałe podejście do dzieci, no i oddany był. Bo przecież wiadomo jak skończył: razem z dziećmi, mimo że był uznanym w świecie lekarzem i pedagogiem. Pisał prace naukowe, pisał także książki popularne dla dzieci. Ponieważ był człowiekiem znanym w świecie, wobec tego Niemcy chcieli jakoś z tego wybrnąć i robili wyjątek. Pomimo że był Żydem, nie próbowali go likwidować, tylko jakoś trzymali go, może na ostatnią kolejkę, ale trzymali go na boku i darowali mu życie na początku. Był po prostu wspaniałym człowiekiem. Był dobry, łagodny w stosunku do wszystkich, miał podejście.

II wojna światowa.

Janusz Wojciechowski: Mama ukończyła Państwowe Liceum Robót Ręcznych w Warszawie i miała podjąć pracę w Staszowie na stanowisku nauczycielki. II wojna światowa wybuchła właśnie wtedy, kiedy ona wróciła do domu. Tato dostał stopień oficera i poszedł na front. Ale wkrótce wojna się zakończyła. Rodzice przebywali jakiś czas w swoim służbowym mieszkaniu. W Polsce powstała organizacja Armia Krajowa, oboje byli tam zaprzysiężeni i brali tam aktywny udział. Armia Krajowa wyznaczyła mojego ojca na kierownika magazynu żywności dla żołnierzy niemieckich. Jedno z pomieszczeń było przeznaczone na magazyn broni dla żołnierzy z AK. Zarządzania magazynem pozwoliło Ojcu uratować grupę mężczyzn pochodzenia żydowskiego, którzy przychodzili do pracy w okolicy. Tato pomógł im, umieszczając ich w jednym z budynków magazynowych. Następnie czekał na pomoc z dowództwa Batalionów Chłopskich. Jednak pewnego dnia na kontrolę magazynu przyjechali Niemcy. Trzeba było po kolei otwierać wszystkie pomieszczenia. Wszystko szło sprawnie, aż doszło do pomieszczenia, w który przebywali Żydzi. Tato powiedział, że idzie do mieszkania po klucze. Udał się tam po to, by ostrzec Mamę i nakazać Jej natychmiastową ucieczkę. Mama jednak nie zgodziła się uciekać i została. Tato tymczasem przeprosił Niemców, że nie może otworzyć magazynu, ponieważ klucze zabrał omyłkowo jeden z pracowników obsługi. Niemcy uwierzyli i przyszli następnego dnia. W nocy Żydzi zostali przekazani w ręce łączników Batalionów Chłopskich. Jeden z uciekinierów przesłał później

zakonspirowaną wiadomość, że dotarli oni szczęśliwie do Rumuni. To była jedyna wiadomość od nich.

Przez pewien czas mieszkała z nami dziewczyna żydowska, pochodziła z okupowanego Lwowa, została przekazana przez łączniczkę z AK. Tam również było getto, i ta dziewczyna została uratowana. Mama załatwiła jej „kenkarty”- dokumenty na nazwisko Janina Zawadzka. W mieszkaniu służbowym mieszkała z nami prawie rok, do 1943r., a potem dała się namówić koleżance na zamianę i wyjechała na dobrowolne roboty do Rzeszy (koleżanka została w Przemyślu), ponieważ stamtąd było jej łatwiej wyjechać do wujka do Afryki, niż z Polski. I wyjechała. Potem dostaliśmy kartkę od niej. Pisała, że bardzo często są naloty bombowe i że została zatrudniona do budowania okopów. I to była ostatnia wiadomość jaką od niej dostaliśmy.

Tato brał udział w walkach, mama brała udział w organizacji tajnego nauczania. Na podwórzu budynku w którym mieszkaliśmy panował ruch ludzi i furmanek przewożących zboże i ziemniaki, więc pojawienie się obcych ludzi nie budziło podejrzeń. Przychodzili nauczyciele i przygotowywali do matury.

Potem rozpoczęły się aresztowania i tata ukrywał się w lasach Dubiecczyzny. Tam brał udział w akcjach partyzanckich. Tak było aż do wyzwolenia.

Powojenny powrót do funkcji drużynowej.

Monika Sidor: Druhna Maryna była Druhną drużynową, więc może nam Druhna opowie o tradycjach tej drużyny, jaka to była drużyna, co robiła?

Dh. Krystyna Padykuła: W 1944r. w zimie przyszła do nas na drużynową. Prowadziła nie tylko naszą drużynę, równocześnie prowadziła drużyny przy innych szkołach (m.in. przy Szkole Podstawowej). Nasza drużyna była kontynuacją drużyny przedwojennej im. Królowej Jadwigi, 5 Drużyna im. Królowej Jadwigi. Była to drużyna przedwojenna, w Szkole Handlowej. Kontynuacją tej drużyny była właśnie nasza drużyna. Druhna Maryna pracowała w Liceum Ogólnokształcącym i tu u nas (w Liceum Ekonomicznym –dop. z życiorysu) prowadziła drużynę. Jeździliśmy razem na obozy, do 1950 r. do zdania matury, więc 6 lat: 4 lata gimnazjum i 2 lata liceum. Obozy były w górach, w Krynicy, koło Jeleniej Góry, w Katowicach. Jakże tylko były obozy organizowane koło Przemyśla, to na wszystkich obozach, zawsze z naszej drużyny brały udział dziewczęta. I łączyliśmy się z Komendą Hufca, bo nie zawsze była ta ilość osób, żeby można było obóz zorganizować. Więc szło tam kilka harcerek z naszej drużyny, z Ogólnokształcącego, z innych gimnazjów, łączyliśmy się i spotykaliśmy się na tych obozach.

Potem (w latach pięćdziesiątych) drużyna nie kontynuowała już naszej drużyny, wtedy drużyny były inne. Ale Druhna Maria dalej pracowała w harcerstwie, drużynę prowadziła przy Szkole Podstawowej.

Dh. Krystyna Czajkowska: Drużynę to Dh. Maryna prowadziła do samej emerytury. To były drużyny w szkołach podstawowych, w Technikum Gastronomicznym, bo tam pracowała. Więc wyjeżdżała na różnego rodzaju organizowane wyjazdy harcerskie,

Działalność w latach pięćdziesiątych.

Monika Sidor: W latach pięćdziesiątych nastąpił taki trudny okres dla harcerstwa, jednak Druhna Maryna nie zrezygnowała z pracy harcerskiej. Może Druhny wiedzą co nią powodowało?

Dh. Janina Mańkowska: I za to jesteśmy Jej wdzięczne, bardzo jesteśmy wdzięczne. Bo ta młodzież rozwijająca się przy niej, miała przed sobą jakieś ideały. I obojętnie jakie to było wtedy harcerstwo, lepiej, że ta młodzież uczyła się patriotyzmu i dodatnich rzeczy, właśnie przy Niej, niż żeby chodziła, gdzieś tam popijała. Po prostu to było zagospodarowanie młodzieży.

Dh. Krystyna Padykuła: Maryna to tak samo prowadziła jak Druh Dobrowolski. W latach 50-80, kiedy to harcerstwo było, nazwijmy to, „czerwone”, ale On to ciągle prowadził i Maryna cały czas pracowała. Na zewnątrz: Baczność! i Spocznij!, ale w kręgach zastępów czy w kręgach drużyny bez władz, to tam się mówiło i o patriotyzmie, i o I Wojnie Światowej, i o modlitwie, i o bohaterach, i o potrzebie modlitwy, ale to musiało być po cichu. Bo taki obóz jaki Dh. Maryna w tym czasie organizowała, to były wzorcowe obozy.

Janusz Wojciechowski: W tym czasie moja mama w ogóle nie uczestniczyła (w „czerwonym” harcerstwie). Była wychowana w innym harcerstwie i inne ideały Jej inspirowały. A drugi powód to taki, że rodzice moi zaprzysiężeni byli w AK i Batalionach Chłopskich. Tato szczególnie działał tam w oddziałach zbrojnych. Wobec tego po wojnie był prześladowany, bardzo często przeszukiwany. W tej atmosferze mama nie mogła absolutnie działać w takiej organizacji. Dopiero po dojściu do władzy Gomółki nastąpiła krótkotrwała odnowa harcerstwa, w 1957r. Wtedy władze zorientowały się, że mogą przyciągnąć wartościową młodzież poprzez tą organizację i postanowiły odnowić to harcerstwo, jakie było dawniej, ale posługując się tą kadrą instruktorów harcerskich przedwojennych. Chciała tą młodzież przyciągnąć, stosując podobne metody wychowawcze, nie mniej jednak wyznaczając inne ideały, niż te przedwojenne. Jednak harcerze-instruktorzy szybko się zorientowali w czym rzecz i wycofali się. Z tego również wycofała się moja mama.

Dom i rodzina.

Janusz Wojciechowski: Tato był nauczycielem z zawodu i jak zrobił kwalifikację nauczyciela, to poszedł na ochotnika do podchorążówki. Ponieważ miał dobrą opinię, dostał pierwszą pracę (koło Lubaczowa- w Nowym Śląsku), co przy tym bezrobociu było ważne. Bardzo dobrze żył z miejscowymi ludźmi, bo tam była ludność mieszana, Ukrainka i Polska, i dzięki temu się uratował, bo w czasie wojny jego oddziały zostały rozbite i on przedzierał się z oficerami. Niemcy ich złapali jako szpiegów i wykupił ich Ukraińiec za żywność.

Mama marzyła o tym, żeby mieć córkę, dlatego tak mnie czesała (jak dziewczynkę). Teraz długie włosy nie są rewelacją, ale ja miałem kokardy i przezywali mnie „Zośka”, z czego byłem bardzo niezadowolony, bo nie ma większej obrazy dla chłopaka w tym wieku. Ale mama była uparta.

Monika Sidor: Jak na pana życie wpłynęło to, że mama była harcerką?

Janusz Wojciechowski: dla mnie w domu mama nie była harcerką, tylko to była mama, która była społecznicą. Wobec tego, kiedy byłem mały, to ciągle musiałem gdzieś z mamą jeździć. A później sytuacja była inna, w ogóle nie widzieliśmy w domu mamy, ponieważ ona zawsze wychodziła wcześniej rano, a wracała regularnie wieczorem. Ale zawsze jak rozmawiałem z rówieśnikami to wychodziło, że ja bardzo dużo zwiedziłem w życiu, a oni brali udział tylko w jakiś typowych wycieczkach pociągiem na 2 dni. Natomiast nikt nie znał tego smaku obozów harcerskich. Obóz w Jeleniej Górze, to był mój pierwszy obóz harcerski. Miałem wtedy 4 lata. Byłem też na obozie harcerskim na Mazurach, w Kajnach. Z Jeleniej Góry nie pamiętam nic, a w Kajnach zapamiętałem tylko, że przywieźliśmy do domu dziewczynkę. Harcerze na obozie dostawali dostawali produkty żywnościowe i tam harcerze zorganizowali dożywianie 70 osób. Rodzice tej dziewczynki zmarli, i ona, ta Marysia, błakała się sama od stodoly do obory. Kto mógł, dał jej kawałek chleba, ale nikt na stałe się nią nie zajął. Mama się nią zajęła, próbowała ulokować ją w jakiejś ochronce (tak dawniej nazywały się Domy Dziecka). Obóz się skończył i można było zostawić ją w takich warunkach, jak wcześniej, ale wzięliśmy ją do domu. I Marysia mieszkała z nami, mama posyłała ją do szkoły, skończyła Szkołę Gastronomiczną. Postanowiła wyjechać, znalazła się w Bielsko-Białej. Nastąpiła przerwa w kontaktach. Po kilku latach dostaliśmy kartkę na święta Bożego Narodzenia, z pozdrowieniami od Marysi. Tak pamiętam obóz w Kajnach. Natomiast dobrze pamiętam wspaniały obóz, następnego roku, w Ustce. Piękne miejsce, blisko plaży, w lesie sosnowym. Namioty były duże, marynarze przychodzili nam czasem pomagać. Byliśmy też koło Przeworska, koło Brzozowa na obozach harcerskich. A potem rozpoczęły działalność organizacje pionierskie, nastąpiła przerwa. Mama moja była nauczycielka w Technikum

Gastronomicznym, organizowała mniej oficjalnie obozy dla młodzieży, wędrownie. Dzięki temu przeszedłem z mamą, z jej uczennicami, z moją paczką chłopaków Bieszczady, Pieniny, Beskid Śląski.

Raz byłem na obozie instruktorskim, jak była ta odnowa harcerstwa.. Potem byłem drużynowym w Szkole Podstawowej, potem w Domu Kultury (z trochę trudną młodzieżą). Jeszcze później byłem Komendantem Szczepu i miałem problem jak tych chłopców zapalić do harcerstwa. I tu opierałem się na doświadczeniu mojej mamy, na rozmowach z nią. Mimo że dookoła było dużo innych rozrywek udało mi się, miałem bardzo dużo chłopców. Doszedłem do stopnia podharcymistrza.

Monika Sidor: A bracia?

Janusz Wojciechowski: Bracia moi mniej niż ja. Owszem należeli do harcerstwa, ale ja najwięcej działałem.

Monika Sidor: My mamy czasem różne problemy w domu, jak za dużo się angażujemy. Czy nie było takich konfliktów w domu?

Janusz Wojciechowski: Nie, no były czasem. Tato troszkę cierpiał z tego powodu, że mam nie poświęcała tak dużo czasu rodzinie, jakby tato to sobie wyobrażał. Ale niestety musiał się z tym pogodzić. Byli kochającym się bardzo małżeństwem, z tym, że mieli różny temperament.

Agnieszka Samonek: Ale mieli państwo jako dzieci oparcie w rodzicach?

Janusz Wojciechowski: Tak, bardzo. Mieliśmy na przykład doping w szkole. W szkole ciągle trzeba było robić jakieś gazetki, panie nauczycielki wymagały, aby nowe gazetki ciągle się pojawiały. Wobec tego prosiłem mamę o pomoc, Mama wracała nieraz późno ze swoich różnych zajęć, ale nigdy nie odmawiała. Siadała z nami, wyciągała brystole (zawsze za szafą mieliśmy zapas brystoli), bo papieroplastyka to było coś najłatwiejszego dla niej. I robiła nam gazetki, my zanosiliśmy je do szkoły, a wszyscy otwierali buzie. Oprócz tego mama moja była bardzo dobrą polonistką. Przed wojną, jako uczennica Seminarium brała udział w konkursie. Był to konkurs ogłoszony dla młodzieży szkół średnich z okazji urodzin Naczelnika: Józefa Piłsudskiego. I miejsce w Warszawie zdobyła moja mama za napisaną pracę. Dostała osobiste gratulacje i podziękowania od Piłsudskiego, a także zestaw książek jego autorstwa. Te książki były w naszej bibliotece domowej przez wiele lat. Potem niestety musiały być zlikwidowane, bo gdyby znaleziono w domu dzieła

Piłsudskiego, to byłyby kłopoty. Oprócz tego mieliśmy piękną metalową statuetkę Piłsudskiego, stojącego w pełnym rynsztunku.

Zarówno zdolności mamy plastyczne, jak i polonistyczne, przydawały się potem, kiedy ja chodziłem do szkoły. Bo czasem jak trzeba było napisać wypracowanie z polskiego, a ja nie wiedziałem jak, to szedłem do mamy. Mama siadała i pisała. Ściągi na maturę też mi mama pisała.

Monika Sidor: A jakie wartości w domu rodzinnym były najbardziej podkreślane, te harcerskie, czy może inne?

Janusz Wojciechowski: Harcerskie też, takie jak było całe życie. Rodzice byli bardzo wierzący i to też było ważne.

Działalność społeczna.

Maria Cieszyńska: Kiedy została spalona Bircza, brało się dzieci z Birczy, kąpało się, zasypywało proszkiem. Było inne znowu działanie harcerzy.

Janusz Wojciechowski: Mam zawsze opiekowała się różnymi dziećmi. Dałem przykład Marysi. Później wiele osób przewijało się przez nasz dom często. Mama miała 3 dzieci, ale przyprowadzała też inne dzieci do domu. Te dzieciaki u nas mieszkaly, mama szukała i jakiegoś stałego miejsca. Czasem po kilka miesięcy u nas mieszkaly i potem mama gdzieś zawsze znalazła dla nich miejsce. A były takie lata, kiedy dość dużo sierot było. No i ktoś musiał się tym zająć. Także w domu zawsze było ciasno. Potem jak już byliśmy dorośli z braćmi. Najstarszy skończył studia, ożenił się. My z moim bratem, prawie rówieśnikiem pojechałem na studia do Gdańska. Mieszkanie było więc prawie puste i to było pole do

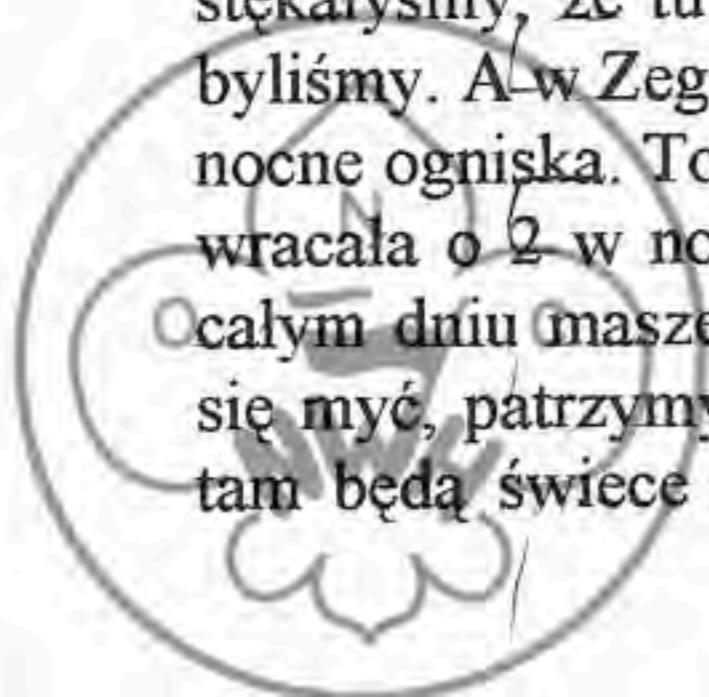
popisu dla mojej mamy. Jakaś dziewczyna skończyła szkołę, nie miała gdzie mieszkać, to zamieszkała w naszym domu, a mama szukała jej mieszkania.

Dh. Janina Mańkowska: A 2 lata przed śmiercią, to ile dzieci ksiądz przywiózł? Coś koło 30. Ksiądz Szpak przyjechał z dziećmi, to była jakaś pielgrzymka.

Dh. Krystyna Padykuła: Mieszkanie Dh. Marii to był „dom pielgrzyma”. Tam ciągle się przewijały jakieś dzieci, młodzież.

Krąg Seniorów ZHP w Przemyślu.

Dh. Krystyna Padykuła: Kiedy wyszłam za mąż, ten okres był dla mnie taką przerwą. Z Dh. Marią miałam kontakt ale nie chodziłam na zbiórki, nie spotykałam się tak na harcerskiej niwie. Tylko tak żeśmy się spotykały: „Czuwaj družno!”, „Czuwaj družno!”, tak spotkałyśmy się na mieście, już jako mężatka z małym dzieckiem. Dopiero w latach 1975-76, kiedy wiedziałam, że już się utworzył Krąg Seniorów, to dopiero gdzieś przed 80 rokiem, może w 78, 79, wtedy dopiero ja wstąpiłam do Kręgu Seniorów. Krąg ten prowadziła dh Zamróż Irena, potem dh Janina Dryś, a po drużnie Dryś, właśnie dh. Maria. Wiele harcerek w tych latach wstąpiło do Kręgu Seniorów, te starsze harcerki w moim wieku. Już każda podchowala swoje dziecko, już dzieci były większe i mogłyśmy się trochę od rodzinnych spraw oderwać. No i drużna tak pomalu, pomalu ściągała, że Krąg był prawie 25 osób (w 1993r). Dh. Maria pracowała cały czas bardzo aktywnie w harcerstwie. Mimo, że byłyśmy już starsze, to tak nami kierowała jakbyśmy miały po 15 lat. Nie było słowa „nie”, ona tego słowa nie знаła. Przychodziły święta, czy jakiś Dzień Myśli Braterskiej, trzeba było wycinać te baranki, te różne choinki. Szykowała papier, szykowała farby, szykowała nożyczki i każda z nas musiała wycinać, kleić, i myśmy rozprowadzali wśród młodzieży te wszystkie ozdoby. Czy jakieś życzenia wysyłałyśmy, to naklejałyśmy te choinki. A pod koniec, już w latach dziewięćdziesiątych nawiązałyśmy kontakt z Domem Pomocy w Huwnikach. No i dla tego Domu Pomocy, dla pensjonariuszy (tam jest 120 pensjonariuszy), to zawsze szykowałyśmy różne szopki. Wiecie jaka szopka jest pracochłonna? Nie było „zmiłuj się”, wszystko trzeba było wycinać do tej szopki. Ja bym szopki nie skleiała za skarby świata, ale trzeba było wycinać: i baranka, i choineczkę i figurki i wszystko wycinać, a Drużna to sklejała i wychodziły piękne szopki. I te szopki zawoziłyśmy do Domu Pomocy Opieki Społecznej. Każdy pensjonariusz dostawał kartkę z życzeniami, jakąś choinkę, jakąś pamiątkę, jakąś szopkę. Tych szopek nieraz zrobiłyśmy 30, 40 szopek. No bo to trzeba i do hufca, i dla młodzieży i dla jakiejś drużyny, i do Domu Starców. Ale ta praca nie szła na marne. Myśmy miały te wiadomości z tych wycinanek, bo to ona w młodszych latach nas nauczyła, ale mimo wszystko to człowiek nie miał czasem cierpliwości, nie miał czasu: nie było mowy - wszystko musiało być własnoręcznie zrobione. Widokówki się nie kupowało, tak jak my teraz kupujemy (widokówki kupujemy, życzenia piszemy i wysyłamy; 120 widokówek kupujemy i 120 wysyłamy do Huwnik). A Ona nie - każda kartka była własnoręcznie sporządzana: musiała mieć wycięty kwiatek, wyciętą lilijkę i dopiero na tym można było napisać. No a jajka? Ile tych wydmuszek myśmy nazbierały. Setki wydmuszek. Każda wydmuszka musiała być pomalowana. Wszystkie różne pisanki, jakieś różne emblematy, to wszystko musiało być własnoręcznie robione. Nie było nic żeby kupić w sklepie. No a przede wszystkim przez te 25 lat ciągle wojażowaliśmy: to złazy seniorów, to spotkania. / Inne kręgi jak Jarosław, Rzeszów, Tarnobrzeg zapraszał nas, myśmy ich zapraszali. Seniorzy się tak czasem zjeżdżali, że nieraz była i setka osób. U nas było w 1996r, we wrześniu. Drużna Maria nie opuściła żadnego wyjazdu, nigdy nie chorowała. My stękałyśmy, że tu mnie boli, tam mnie boli. Ją nigdy nic nie bolało. W Zegrzu, na zlocie byliśmy. A w Zegrzu, na zlocie było 6000 młodzieży i 1500 seniorów. I były nocne występy, nocne ogniska. To my seniorki, szłyśmy o dziesiątej spać, a ona o dziesiątej szła na występ i wracała o 2 w nocy. I do tego sama. Myśmy poszły spać, każda zmęczona, nogi bolą po całym dniu maszerowania, po całym dniu zwiedzania gniazd. A godzina 9: my poszłyśmy się myć, patrzymy się gdzie ona idzie, „a ja idę na występ katowicki i idę na ognisko, bo tam będą świece świecić”. Poszła i wróciła o drugiej w nocy. A od miejsca ogniska do



miejsca noclegu było dobry ponad kilometr, może z półtora kilometra, i ona pieszo drałowała, a miała już 83 lata (w 1996r).

Niebezpieczny wypadek.

Janusz Wojciechowski: Mama jak miała 80 lat, poszła odwiedzić koleżankę, panią Stenię. I do tej pani Steni można było przejść drogą okrężną, ale ktoś powiedział mamie, że można wybrać krótszą drogę: przejść przez tory. Mama w wieku 80 lat przeszła przez te tory, potknęła się na nasypie i zjechała tak nieszczęśliwie, że uderzyła w drzewo i złamała sobie miednicę. Tu gipsu się nie nakłada, ale trzeba kolkiem leżeć przez wiele tygodni. Byliśmy wtedy jak najgorszych myśli, bo leżenie taki było bardzo niebezpieczne m.in. dla płuc. I tu duża zasługa mamy przyjaciółek. Codziennie były dyżury, oklepywania, cuda, i tak się udało te matkę uratować. Potem była w szpitalu, bo pomimo tego zapalenie płuc się przyplątało. Przy pomocy znajomej pani doktor mama wyszła z tego zapalenia płuc. Ja się postarałem o wózek i o balkonik, taki dla starszych ludzi. Mama nie tknęła ani balkonika, ani nie skorzystała z wózka. Zaciśnęła zęby i od łóżka do krzesła, od krzesła do stołu, i w ten sposób bez balkonika poruszała się.

Ostatnie miesiące życia.

Kilka miesięcy przed śmiercią, mama jakby się poddała, straciła wolę życia. To były ostatnie miesiące: mama leżała, nie chciała wstawać itd. Mama zmarła w czerwcu, a w grudniu na Boże Narodzenie leżała w szpitalu. Ponieważ tam miała opiekę, wszystko podane, więc nie musiała wstawać. I mama przestała się odżywiać, i wg mnie w tym czasie straciła wolę życia. I Ona nam mówiła wprost, że już chce umrzeć. Potem była troszkę w domu, ale pod koniec maja myśmy siłą wypchnęli ją do szpitala. Mama była wygłodzona, dostała kroplówkę i następnego dnia zobaczyłem ją taką jak przed kilku laty: pełną energii, zadowoloną, rozmawiała, wszystko jej pasowało, nic nie przeszkadzało. Następnego dnia było jeszcze lepiej, bo już dostawała cały czas kroplówkę. Pech chciał, że powtórzyłem jej, że dh. Krystyna powiedziała: „Robimy ognisko w Waclawicach!” Ona na to: „To ja już wychodzę!” I nic jej nie mogło przekonać, że nie powinna wychodzić. Doszło do bardzo nieprzyjemnych rozmów, awantury były między nami w szpitalu i wbrew naszej woli. Ponieważ synowie odmówili zabrania mamy ze szpitala, to zadzwoniła do jednej koleżanki, ta odmówiła, do drugiej koleżanki – odmówiła, do pana Kasprowicza: „Marian, musisz mnie zabrać.” W końcu mój brat się poddał i mamę zabrał. Ale ona znowu nic nie jadła.

Dh. Krystyna Czajkowska: Jak byłem u niej w maju, to mi kazała zuchy przyprowadzić, bo chciała robić zbiórkę z zuchami. Ale była bardzo słaba, ledwo siedziała na łóżku, więc się jakoś wymigałam.

Janusz Wojciechowski: Mama miała bardzo dobrą opiekę ze strony swoich przyjaciółek. Przychodziły codziennie i pomagały.

Moje spotkanie z Dh. Maryną.

Dh. Krystyna Czajkowska: Swego czasu pracowałam w Szkole Podstawowej w Trójczycach, gdzie Dh. Maryna dość często przyjeżdżała. Ja prowadziłam drużynę harcerską zaraz bezpośrednio po SN-ie, brakowało mi troszeczkę tych wiadomości. I tak przez pana Franciszka prosiłam o pomoc, a to by mi się może przydało, a to by mi może skombinował. I taka okrężną drogą, długo Dh. Maryna nie wiedziała, do kogo to docierają te wszystkie szpargały, komu to jest podawane. Dopiero gdzieś tam przypadkiem, jakaś była impreza w Hufcu, no i mówi: „No ja wreszcie muszę wiedzieć komu mój Franek wnosi z domu jakieś piosenki, jakieś wiersze.” Ja mówię: „To wnosi dla mnie druhno”. Ona mówi: „A, no to ja ci jeszcze tam coś podrzucę.” No i tam rzeczywiście, wycinanek mi tam podawała rozmaitych, żeby coś tam dzieciom zrobić. Tam przy jej pomocy zrobiłam harcówkę, pomogła mi tam udekorować, podpowiedziała co zrobić, jak zrobić. Miała troszkę więcej zmysłu takiego artystycznego, ja troszkę mniej. Ale dzieci bardzo chętnie znosiły, ponieważ las był blisko, więc naznosiły szyszek, żołądki, rozmaitych takich kawałków kory, pniaki. Także gdzieś do miesiąca czasu ta harcówka była przepiękna, bo dzieci o to dbały. To co same zrobiły, o to dbały. Niejednokrotnie prosiło się Dh. Marynę, jak miała czas, a zresztą

czas sobie zawsze znalazła żeby zajrzeć, pozagłądać, doradzić, z dziećmi porozmawiać, coś tam opowiedzieć, chętnie bardzo słuchały takich wspomnień jak to kiedyś było na obozie. Dzieci zaczęły wyjeżdżać na obozy harcerskie właśnie po tych jej wspomnieniach. Podobalo im się spanie w namiocie, bo opowiadała jak im tam gdzieś chłopcy śledzie pościągali, jak one w nocy namiotu szukały, to im się bardzo spodobalo, i wiem, że po tych takich spotkaniach duża grupa zdecydowała się wyjechać pod namioty, a nie jak to było preferowane, do budynku.

Natomiast do Kręgu dotarłam bardzo późno, i też ściagnęła mnie Maryna, bo prowadziłam drużynę i pracowałam tu, w Hufcu. No i tak gdzieś przypadkowo mówi: „Pamiętaj, masz przyjść dzisiaj do mnie.” Ja mówię: „No ale po co?” „A co Cię to obchodzi, masz przyjść.” No i przyszłam, spotkałam wszystkie koleżanki. No i ona mówi: „Ja Cię tu już wpisałam do Kręgu, i masz przychodzić na zbiórki.” „No ale ja pracuje rano, czasem popołudniu.” „To jak będziesz miała lekcje, to ja cię usprawiedliwię, ale w przeciwnym wypadku to ja cię nie usprawiedliwię, musisz zawsze być.” No i tak po prostu dotarłam tutaj do tego Kręgu. Po śmierci Druhny, koleżanki uznały, że powinnam pełnić funkcję komendantki, i tak do dzisiaj zostałam.

Jaka była, jaką Marynę zapamiętali przyjaciele, rodzina?

Dh. Maria Cieszyńska: Pracowała do ostatniej chwili. Jako już chory człowiek, ale pracowała i człowiek był tak zdumiony, i taki był zachwycony tą postawą, że po prostu nie ma życia bez harcerstwa. Więc Ona musiała oddziaływać, to musi pójść dalej, to nie można zapomnieć. To była osobowość taka, że..., no przecież chora była i prosił: Zostań, nie chodź. „Nie, ja muszę pójść pod pomnik, bo to jest 11 listopada.” Deszcz leje, zimno, a Ona musi pójść, musi ubrać mundur. To był taki człowiek.

Dh. Janina Mańkowska: Ale mnie na przykład zdumiewało to, że przecież dzisiejsza młodzież, to jest taka dosyć krytyczna w stosunku do starych ludzi, wyśmiewająca się czasem nawet. Co było nie do pomyślenia, przecież tam przychodzili też młodzi harcerze, do naszej Druhny Komendantki, dzieci wręcz przychodziły. Po prostu potrafiła tak sobie wszystkich ująć, że nawet ci mali chłopcy, z powszechnej szkoły przychodzili.

Dh. Krystyna Padykuła: Dh. Maria była szczupła, była drobniutka, i z tyłu, kto by siedł za nią, to by pomyślał, że idzie dwunastoletnia dziewczynka. Bo była szczupła i mała.

Druhna była wspaniałą polonistką, bez przerwy sypała jakimiś cytatami. Każda Jej gawęda była przepiękna, obojętnie jaki by nie był temat. Jaki by nie wzięła temat: świąteczny, harcerski, polityczny, humorystyczny, każda gawęda była dopracowana.

Na wszystkich obozach zawsze była komendantką. Była bardzo serdeczna i nie dawała się nigdy odróżnić, że jest komendantką. Mimo, że byłyśmy dużo młodsze, miałyśmy po 15-18 lat, to zawsze: „Krysia, Danko, Zośka, chodźcie tu, siadajmy robimy to czy tamto.” Ale jak chodziło o pracę, to była tak zdyscyplinowana, że nie popuściła za nic.

Janusz Wojciechowski: Mama moja była bardzo dynamiczna. Czasem wracała ze szkoły i z koleżanką jechała do Warszawy. Czasem też przychodziła do domu, w ciągu godziny pakowała swoje rzeczy i wsiadała w pociąg. Mężowi zostawiała kartkę: „Franek. Kocham Cię. Wyjeżdżam do Warszawy.” Kochała Warszawę. W Warszawie zostawiła bardzo dużo przyjaciół, miała dużo kontaktów.

Krystyna Padykuła: Druhna miała dobry charakter, była dobrym człowiekiem, ale były momenty, kiedy była bardzo uparta: tak musi być, a nie tak, ty mnie słuchaj, a nie ja Ciebie!

Siostra Dh. Maryny (wyjątek z listu): „Niezależnie od jej ideowej, oddanej harcerstwu postawy, pełnej poświęcenia i oddania pracy, była człowiekiem o niespożytej energii, woli działania, nastawiona wyłącznie na określony przez Nią cel. On był w niej zawsze na I miejscu, czynnikiem wiodącym. Osoby realizujące go, schodziły do drugiego rzędu wartości, stawały się w jej rozumieniu i taktyce, instrumentem realizującym jej pomysł i ideę. Nie uznawała racji mnogości rozwiązań danego problemu, różnorodności jego odbioru, stąd robiła wrażenie narzucania Swojej osoby. Ale ten układ: przywódca-podwładny, odpowiadał Jej. Ni rezygnowała zeń, czuła się w nim dobrze, miała wyniki, a one umacniały Ją w słuszności tej postawy. To zresztą cecha wszystkich przywódców, zarówno religijnych,

społecznych, jaki i politycznych. Była nauczycielką w sprawach osobistych, a realistką w sprawach społecznych. Miała poważną pozycję harcerską i to w skali nie tylko Przemysła, szacunek otoczenia harcerskiego dla Niej i dla Jej pracy.”

Dh. Maria Cieszyńska: Człowiek, obok drugi człowiek, biedny i Polska – to była Maryna.

Janina Mańkowska: Dh. Maryna Wojciechowska była moim serdecznym przyjacielem. To był człowiek, który właściwie żył zawsze problemami innych ludzi. Można się było do niej zwrócić ze wszystkimi sprawami. I ona wszystko potrafiła jakoś, nawet jeżeli nie mogła załatwić czegoś, to wyprowadzała tę całą jakąś taką skomplikowaną sprawę na prostą drogę. Uważam, że Dh. Maryna zostawiła nam taką spuściznę po sobie, że to by było coś bardzo nie dobrego, coś bardzo brzydkiego, gdybyśmy tego w dalszym ciągu nie prowadziły, gdybyśmy zaprzepaściły tę całą jej pracę, ten straszny trud, który ona włożyła w wychowanie młodzieży. Bo to był człowiek, który właściwie poświęcił się dla innych ludzi.

Czy Drużna Maryna jest autorką lub bohaterką opracowań harcerskich?

Dh. Krystyna Czajkowska: Wiem, że jest książka Stasia Krakowskiego o harcerstwie przemyskim i jest tam właśnie o Jej działalności, Jej wspomnienia. To co pisała, ukazywało się w CZUWAJ-u. Ale to nie były artykuły - jej wspomnienia, tylko ogólnie harcerskie: np. o mowie polskiej, że jest zaśmiecana.



archiwum